



Gniazdo

PORA ZMIERZCHU

Są takie dni, które zdają się żyć. Nie są jedynie odcinkami czasu, mijającymi mimowolnie i bez znaczenia. Ten dzień miał i własną osobowość i pragnienia. Był tajemniczym typem, lekkim socjopatą. Wśród mroków południa czuć było, jak przemawia do ciebie i bawi się twoimi lękami. Stara się przestraszyć cię dopóki może, wiedząc że jutro już go nie będzie. Dni Pory Zmierzchu często takie były. W tej tajemniczej, niepokojącej porze, czuć było coś niezwykłego. Niby żart upitych bogów, którzy zawiesili na kilka tygodni wszelkie prawa tylko po to, by zobaczyć co człowiek usłyszy w szeptach mroku.

Mimo że powinno być samo południe, niebo było okryte zmierzchem. Od tygodnia nie pojawia się na nim słońce. Jak co roku, świat zamarł. Kwiaty złożyły swoje pąki. Dienne zwierzęta pozostają w swoich kryjówkach, gdy nocni drapieżcy mają żer. Bestie wychodzą z nór, z lasów, z jaskiń i z gniazd. Bestie wychodzą z domów, z karczm, z pałaców i burdeli. Bo zmierzch szepcze w cieniach. A oni najlepiej się czują pod ich osłoną.

W takim świecie żył Jatzy. Jedenaście zmierzchów już przeżył, to był jego dwunasty. Dziecko stepowych dróg i pustynnych szlaków. Zmierzch to pora, w której Jatzy czuje się najlepiej. Zwrócony w stronę południowego szlaku, Jatzy bawił się nożem i bacznie oglądał horyzont zlewający się niemal z szarością nieba. Jatzy nie miał rodziny, tylko szefa. Nie otrzymywał nagród, a łupy. Tak jak tę, z dumą noszoną, futrzaną kamizelkę, która okrywała nieco jego nagie ramiona i klatkę. Wypiętą dumnie i godnie, klatkę grabieżcy. Nawet jeśli była to wątła pierś dwunastoletniego chłopca.

Od pewnego czasu wodził wzrokiem za kształtem który majaczył w oddali. Czy to jakiś zabłąkanythur? Po dłuższej chwili nabrał pewności. Dwóch jeźdźców na jednym koniu. Dorosły i dziecko. Jechali stępą głównym traktem. Wkrótce Jatzy miał ich w zasięgu wzroku. Jechali w stronę Gniazda. Gdy dobrze im się przyjrzał, zaintrygowali go jeszcze bardziej. Dziecko nie jechało z przodu, jakoby objęte ramionami dorosłego, a z tyłu, trzymając się, nawet nie jego, a skórzanego pasa na jego plecach. Słyszał luźną, spokojną rozmowę, ale nie mógł zrozumieć języka.

Ku zdziwieniu Jatzego, jeździec skręcił w niewłaściwą drogę. Jatzy zszedł ze skały na której się ukrywał, by zobaczyć dlaczego ze wszystkich możliwych miejsc, nieznajomi kierują się w stronę rozpadliny otnatowej. Czyżby nie wiedział, że to go zabije? Nie dokończył myśli. Zobaczył jeźdźcę, stojącego przed zejściem w rozpadlinę. Bez dziecka. Co się stało z dzieckiem? Odpowiedź otrzymał, w postaci chłodnego metalu, przyłożonego do jego karku. Usłyszał krótką komendę.

- Wstawaj, idziemy.



Powolnym krokiem zaczęli zbliżać się do jeźdźcy. Kim byli ci ludzie? Skąd wiedzieli że ich obserwuje? Jak ten dzieciak podkraść się tak niepostrzeżenie? I kim jest jeździec? Stał przy wierzchołku i zapalał lampę oliwną. Z bliska widać było jego wysoką, muskularną postawę, granatowy gambeson, na którym miał paski do przypięcia pewnie jakiejś lekkiej zbroi, może pancerza. Za pasem znajdowały się sztylet i nóż myśliwski. Do siodła był przytroczone krótki łuk. Z pewnością nieznajomy był wojownikiem. Ale skąd? Łatwiej byłoby poznać po rodzaju miecza, ale nigdzie go nie było widać. Tylko długi, gruby kij, przytroczone do siodła. Jatzy widział wielu podróżnych przybywających do Gniazda, ale takiego jeszcze nigdy.

- Przecież to jakiś dzieciak – zdziwił się jeździec, zobaczywszy Jatzego.

Przywołał go gestem dłoni. Chłopiec stojący za nim, schował nóż. Dopiero teraz Jatzy mógł go zobaczyć. Byli w podobnym wieku. Jego jasne włosy były dobrze widoczne, nawet w półmroku zmierzchu. Zapłonęła lampa, więc szarość rozjaśniła się blaskiem i kolorem.

- Jesteś z Gniazda – zauważył nieznajomy.

Jatzy milczał.

- Od Rhatorkova? Teraz wysła dzieci na warty?
 - Wcale nie – wzburzył się Jatzy – wysła mężczyzn i ja jestem lepszy niż niejeden z n....
- Jatzy przerwał. Tyle z niewygadania się.
- Dobra – uśmiechnął się nieznajomy widząc zmieszanie chłopca – zaprowadź mnie do niego.
 - A dlaczego myślisz że cię przyjmie – prychnął Jatzy.

Nieznajomy ponownie się uśmiechnął. Na jego policzku pojawił się dołek, w który lampa rzucała cień. Jego podopieczny jedynie uniósł brew.

- Pewnie mnie nie poznajesz – powiedział jeździec – ale może słyszałeś o tym.

Sięgnął po przytroczone do siodła kij. Teraz dopiero dało się zauważyć, że na czarnym, matowym drewnie, były srebrne pierścienie i granatowe opaskowanie. Była to hlavathana, miecz z okolic Lotosu. Jeździec wysunął go lekko, ukazując błyszczące ostrze z arakańskim znakiem Haim. Jatzy cofnął się o krok. Czy nieznajomy mógł być...

- Dawaj – szturchnął Jatzego nieznajomy chłopiec – nie mamy całego dnia.
- Chyba nocy – rzucił jeździec uśmiechając się lekko.
- To było spektakularnie słabe – skwitował go podopieczny.

Kilkanaście minut im zajęło, zanim zza skał wąwozu wyglądął cel ich podróży. Gniazdo. Miejsce jedyne w swoim rodzaju. Był to wielki budynek, o ścianach prostych i gładkich, wykonanych z czegoś, czego nie dało się zbudować rękami ludzkimi. Kanciasty, rozszerzający się w górę, pokryty znakami, których nie dało się odczytać. Środek budynku rozerwany był jakoby pazurem wielkiej



bestii, która następnie pociągnęła go ku jednej ze ścian, rujnując ją i otwierając wnętrze dla każdego. Tak więc tutaj, na skażonych pustkowiach, stoi wielka forteca. Starożytny zamek zbudowany przez bogów, zrujnowany pewnie w tym samym czasie co jego budowniczowie. W nim zaś zamieszkały bandy złodziei, morderców, zbiegów i niewolników. Aby schronić się przed prawem i zemstą, zbudowali na nim kamienne mury, krzywe flanki, bramy z nierównymi wrotami, a to wszystko z jakichkolwiek cegieł, kamienia, metalu i drewna, które wpadły pod rękę. Ponad karykaturalną fortecą górowała jedna, wąska wieża, nadając temu miejscu wygląd zamku, i to godnego swoich mieszkańców.

Nie minęło wiele czasu, gdy znaleźli się już w środku, na dużym placu. Niczym w koloseum w Atlantis, dookoła unosiły się i coraz bardziej oddalały, poziomy budynki, stawiając człowieka na środku wielkiego lejku. Na każdym piętrze gwaro było od bójek, kłótni i hulaszcy. Gdy Jatzy powiedział kto przyszedł, natychmiast wysłano po herszta tego miejsca.

Ten też niezwłocznie zjawił się ze swoją świtą. Był człowiekiem po pięćdziesiątce, ale z wielkim urokiem osobistym. Towarzyszyło mu nieustannie pięciu najpiękniejszych niewolników, noszących ekstrawagancką zieleń scydyjską. Rhatorkov ucieszył się, gdy zobaczył swojego gościa.

- Ninsaer – uśmiechnął się szeroko – jak my się dawno nie widzieliśmy, chłopie gdzieś ty bywał.
- Fandeil – przywitał go po imieniu przybysz – dobrze cię widzieć.
- A cóż to za młody towarzysz – zapytał Rhatorkov wyciągając dłonie w jego stronę.

Jasnowłósy chłopiec cofnął się o dwa kroki na widok ekscentrycznego, dziwnego pana. Jego pięści były zaciśnięte. Rhatorkov cofnął się.

- To Humboldt, mój uczeń – powiedział Ninsaer.
- Miło mi młody człowieku – uśmiechnął się szeroko Rhatorkov – mnie i twojego mistrza łączyły kiedyś bliskie interesy – spojrzał na Ninsaera – mam nadzieję że ty nie w tej sprawie?
- Nie – powiedział Ninsaer – nie jestem tu w interesach.

Rhatorkov zmarszczył brwi, ale szybko zamienił je w grymas uśmiechu. Położył dłoń na głowie Jatzego i głaszcząc go, zawołał wielkim głosem.

- Młody przyprowadził wyjątkowych gości – rozniosło się głosem po całym wnętrzu – przywitajmy gorąco mojego ulubionego najemnika, Ninsaera i jego nowego ucznia, Humboldta!

Wnętrze fortecy zagrzmiało wielkimi krzykami i tupaniem. Ninsaer był tu wielokrotnie, ale młody Humboldt nigdy jeszcze nie widział niczego podobnego. Wznoszące się ze wszystkich stron kolejne poziomy Gniazda ryczały nieziemskim głosem. W półmroku dnia, rozpalone ogniska i lampy



zdawały się niejako tańczyć na ciemnym niebie. To miejsce było jak żadne inne, które Humboldt kiedykolwiek widział.

Rhatorkov zaprowadził ich do swojego prywatnego apartamentu. Przepelnione kwiatami, skórami dzikich zwierząt i w połowie zajęte przez garderobę wewnątrz, było niezwykle barwnym widokiem. Gdy usiedli do naprędce sporządzonej kolacji, gospodarz zapytał:

- Pamiętasz naszą starą sprawę w Sirkerserze?
- Tak – uśmiechnął się najemnik – ale spokojnie, nie zrobię ci tu takiego zamieszania jak tam.
- Nie musisz kłamać Ninsaer – powiedział Rhatorkov – jesteś tu w jakimś celu.
- Spokojnie...
- Czy przyszedłeś po kogoś konkretnego? – zapytał.

Ninsaer westchnął.

- Nie jestem tu w pracy – powiedział – potrzebuję trochę odetchnąć.
- Zapadła cisza.
- Odwiedzę miejsce, które zawsze chciałem zobaczyć na własne oczy – stwierdził – i pokażę je Humboldtowi.
 - Jakie miejsce?
 - Podziemia Gniazda.

Rhatorkov zmarszczył brwi. Niezręczną ciszę zdziwienia przerwał dopiero Humboldt:

- Jakie podziemia?
- To ty nie wiesz? – herszt Gniazda pochylił się do Humboldta – Jatzy pokaże ci. Chodź młody, oprowadzisz naszego gościa po lokalu.

Jatzy skinął na Humboldta i z kanapkami w dłoniach, wyszli na zewnątrz. Skierowali się w stronę wielkiej, zatłoczonej hali. Jatzy zapytał:

- Co wiesz o tym miejscu?
 - Że to zadupie – rzucił Humboldt.
- Jatzy spojrzał na niego krzywo. Chłopiec, choć w jego wieku, zdawał się być starym bucem.
- A poza tym? – drążył Jatzy.
 - No tu były ruiny tak – zaczął Humboldt – i znaleźli je jacyś bandyci i zrobili tu bazę.
- Tak, dzieciak był zdecydowanie bucem.
- Ale czego były to ruiny – drążył Jatzy, któremu opowieść o Gnieździe już cisnęła się na usta.
 - A skąd ja mam to, *sivize*, wiedzieć?

Znaleźli się przed drewnianymi schodami, położonymi na kilkumetrowym stoku gruzu. Gdy schodzili, Jatzy dał towarzyszowi przedziwny przedmiot. Płaski kawałek... czegoś. Miał przyblakły



różowy kolor, był giętki, ale mocny zarazem. Zbyt miękki i lekki na metal, zbyt giętki na drewno, nie był ani skałą ani skórą. Jatzy wskazał palcem w górę. Zobaczyli cały sufit pokryty tym właśnie materiałem.

- Nigdzie na świecie nie rośnie taki materiał jak ten – powiedział – ale jest w tych ruinach.
- i?

Jatzy uniósł lekko dłonie, uśmiechnął się i powiedział:

- Kosmici.

Humboldt milczał.

- Że przybysze z gwiazd? – zdziwił się.
- Tak, to oni spadli na ziemię i przynieśli swoje własne skały, metale i kamienie. I dlatego tutaj wiele rzeczy jest zupełnie innych niż to, co naturalnie wyrasta z ziemi. W podziemiach znaleźć można nie tylko kawałki, ale i całe kosmiczne artefakty.
- Co to są te podziemia? – zapytał Humboldt.
- Jesteśmy w nich – odpowiedział krótko Jatzy.

Znajdowali się w zatłoczonym przejściu o wysokim suficie. Handlarze mieli rozłożone kramy, a pijacy zaczepiali kobiety. Wszystko wyglądało normalnie.

- Przynajmniej – kontynuował Jatzy – na pierwszym poziomie. Ale jest drugi, gdzie jest mniej ludzi. Trzeci, który jest tylko czasem odwiedzany, czwarty gdzie można iść na samotną wędrowkę, piąty, gdzie nie ma nikogo, szósty, siódmy, ósmy i wiele więcej.
- Tak głęboko?
- Tak – kontynuował – i im niżej, tym ciemniej i straszniej. Zamieszkują je podziemniaki, czyli szaleńcy którzy tam zeszli i już nie wrócili. Przynajmniej nie przy zdrowych zmysłach. Często słychać ich śmiechy i krzyki w głębinach podziemi.

Jatzy sięgnął po różowy kawałek kosmicznego materiału, ściskany przez Humboldta.

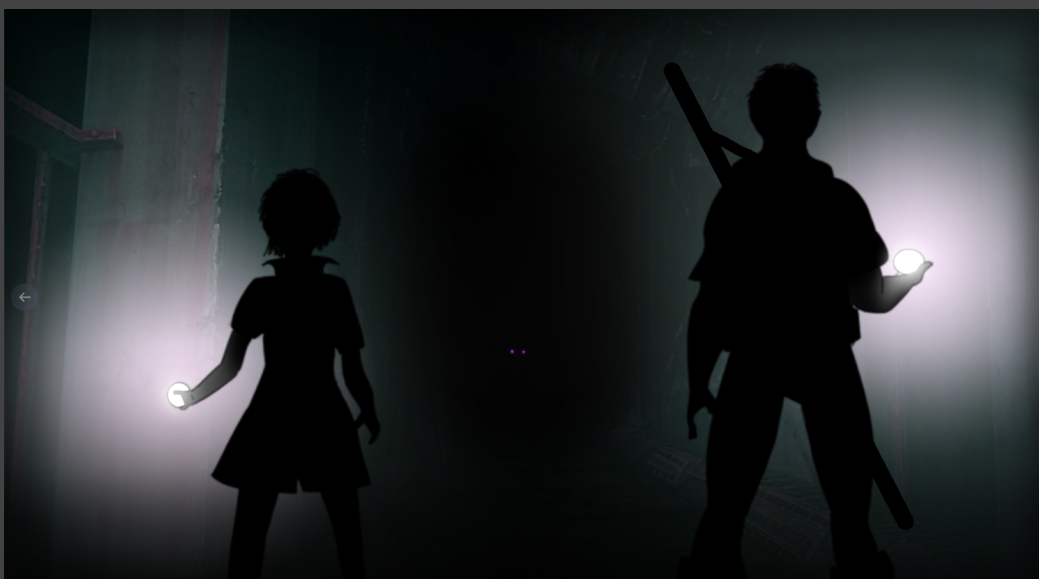
- Tam można znaleźć o wiele bardziej tajemnicze rzeczy – powiedział – i śmiazków którzy tam schodzą nazywamy złomiarzami.
- I co przynoszą?
- Artefakty kosmitów – Jatzy wzruszył ramionami – a co chce przynieść twój mistrz?
- Nic – odpowiedział momentalnie Humboldt – idziemy tam dla checy.
- Wyglądasz na zbyt zdenerwowanego – zauważył Jatzy – jak na kogoś idącego tam dla checy. Humboldt milczał.
- Jeśli to jakaś dobrze płatna robota – uśmiechnął się Jatzy – to może mogę was kryć i zabierzecie mnie ze sobą?
- Źle ci tu – zdziwił się Humboldt – myślałem że Rhatorkov dobrze cię traktuje.

- On dziś jest, jutro może go nie być, ja chcę wyjść na tym z zyskiem.
Humboldt spojrzał na niego krzywo i odszedł. Jatzy krzyknął za nim:
- Pewnie nigdy nie byłeś jeszcze w prawdziwym niebezpieczeństwie – powiedział – gdybyś bał się o swoją dupę, zostawiłbyś swojego mistrza na śmierć.
- Pewnie tak – odpowiedział Humboldt – nie łączy mnie z nim więź, tylko umowa.

SCHODZĄC DO PODZIEMI

Byli gotowi. Rhatorkov zaoferował im sprzęt, ale Ninsaer odmówił i przyjął tylko prowiant. Przyjechali tu przygotowani na zejście. Całe Gniazdo obserwowało jak Ninsaer, najemnik królów i cesarzy, schodzi dla zabawy do podziemi, z których się nie wraca.

Pierwszy poziom niewiele różnił się od wyższych. Ot, tłum ludzi. Jego sufit pokryty był różowym materiałem, który, jak mówił Jatzy, pochodził z gwiazd. Drugi poziom był już mniej uczęszczany. Mieszkali tu tutejsi „bezdomni” i kręciły się grupki dzieciaków. Wszystko oświetlone było lampami oliwnymi i palącymi się tu i ówdzie ogniskami, których dym uciekał przez liczne dziury w suficie. Trzeci poziom był niemalże pusty. Słyszeć jednak było, jak tutejsza młodzież urządzała sobie ognisko. Tutaj było ono jedynym źródłem światła. Poza tym natrafili na parę kochanków, najwyraźniej nie przejmujących się prywatnością. Humboldt przyspieszył kroku, schodząc po gruzach do czwartego poziomu. Panowała tu zupełna ciemność i przykry chłód. Było też cicho. Tak cicho, że skwierczenie pochodni Ninsaera zdawało się głośnie.





- Dobra – powiedział – tutaj już nikogo nie spotkamy.

Zgasił pochodnię. Na chwilę zapanowała ciemność. Humboldt czuł jak traci grunt pod nogami – oczy miał otwarte, ale nie widział nic. Czy tak czują się ślepi? Nagle w mroku rozbłysło silne, białe, z lekka fioletowe światło. Ninsaer trzymał w dłoni jasną kulę, rozpraszającą ciemność. Humboldt sięgnął po swoją. Wkrótce zupełnie czarne otoczenie rozjaśniło się, przez tę przedziwną lampę. Nie czekając na nic, ruszyli w stronę zejścia na piąty poziom. Humboldt sprawdził, czy jego pofarka wysuwa się z pochwy lekko. Wiedział, że zaatakowany przez podziemniaka, będzie musiał liczyć tylko na ostrze tego mieczyka. Jakby w odpowiedzi na to, Ninsaer odblokował zapięcie między rękojeścią, a pochwą swojej hlavathany.

- Na który poziom schodzimy? – zapytał Humboldt.
- Na siódmy – odrzekł Ninsaer – tam jest jedyne przejście do naszego celu.
- Klient dał ci plany? – chłopiec wyciągnął rękę do mistrza.
- Trzymaj – mistrz podał mu sztywny arkusz grubego papieru.

Kartka była ciemnoszara. Wszystkie linie i napisy jasno błyszczały przy świetle białej kuli. Plany poziomu siódmego przedstawiały niekompletny labirynt korytarzy i pokoi. Wszystko podpisane nieznany Humboldtowi pismem oraz przetłumaczone w uniryckim. Te dziwne litery znajdowały się tutaj wszędzie. Na ścianach, na metalowych tablicach i na podłodze.

Przyspieszyli kroku, bo słychać było głosy i tupanie ludzi. Prędzej czy później, natrafią na podziemniaków – lepiej później niż prędzej. Humboldt stanął jak wryty. Zdawało się że za nimi nieśmiało porusza się sylwetka dziecka, chowająca się przed światłem. Pewnie tylko jego wyobraźnia. Zejściem na poziom szósty był pionowy szyb i należało zeskoczyć z wyższego piętra, na gruz niemal zupełnie zasypujący niższe. Gdy tylko uporali się z tym zadaniem, usłyszeli głośnie wycie w głębi.

- Kuuuuuuuuryyyywa, kuuuuuuuuryyyywa.
- To chybaryba? – zapytał nerwowo Humboldt.
- Może – szepnął Ninsaer podkładając sobie kulę pod brodę – i woła nas, bo chce nas pochłonać.

Poczorchał przestraszonego chłopca po włosach, ale ten trzepnął go w dłoń.

- Spokojnie – odpowiedział mistrz – żaden z nas nie jest dziewicą, a chybaryba pożera tylko je.

O ile na piątym poziomie słyszeli głuche tupanie i przepychanki, tak tutaj po korytarzach niesło się echo głosów. Czasem ucho zdawało się wychwycić jakieś słowa.

W świetle pojawiły się sylwetki. Pięciu? Nie, sześciu. Zbliżali się do światła. Humboldt sięgnął po swoją pofarkę, ale Ninsaer zatrzymał jego rękę. Może uda się uniknąć konfrontacji. Podziemniaków jednak przybywało. Jeden z nich, z uśmiechem, mówił coś, przytłumionym głosem:



- Zważaj, ilu to kurwa ludzi, tych zawodów, wszych narodów pomarło, że przejść można co do kurwa Fiutosona, Fagotasa i Orzyganiona...

Ninsaer spojrział na swojego ucznia. Humboldt był zwarty i skupiony.

- Jak w kanionie kargulców – poinstruował mistrz
- Dobra.

Humboldt wyłączył swoją lampę, a Ninsaer głośno wrzasnął i rzucił swoją w stronę ściany. Podziemniaki rzucili się w stronę łatwo widocznej przynęty. W ciemności słychać było szczęk stali, potem krzyk zabijanych wrogów, recytacje poezji romantycznej i postękiwanie zranionych uciekinierów. Wciąż jeszcze zapalona lampa Ninsaera pokryła się krwią. Czerwony blask padał na chaotyczne postaci, cofające się przed groźnymi przybyszami. Tak jak nęciło ich światło, tak widzieli co stało się z innymi. Chowały się w kątach, oświetlone na czerwono, prychając, szepcząc i stękając. Wśród nich nadal słychać było monolog.

- Musimy się przenieść na tamten świat, dokąd poszło tylu kurwa sławnych mówców, tylu zacnych filozofów, Hellakrit, Pedogoras, Suckrates...

Humboldt zmarszczył brwi. O czym on mówił? Gdy posuwali się powoli do końca korytarza, pomiędzy cofających się podziemniaków, jeden z nich zaczął podchodzić bliżej, można było go zobaczyć. Miał twarz wykrzywioną w straszliwy grymas. Szczeka mu drżała. Był zupełnie nagi, a jego ręka wyglądała na złamaną i nigdy nie leczoną. To on mówił, przytłumionym głosem:

- A tylu bohaterów dawniej. A tylu kurwa wodzów później i władców. Ich natury bystre, kurwa wielkoduszne, pracowite, dzielne, dumne...

Nie dokończył. Humboldt zamachnął się i zadał cięcie w miejsce, w którym ręka była widocznie złamana. Ból rzucił wroga na ziemię. Całym podziemiem wstrząsnął ryk, od którego inni pouciekali. Chłopiec jednak zadał szybkie cięcie w szyję. Pofarka to miecz krótki, ale tnący niezwykle efektywnie. Oryginalnie nóż rzeźniczy, doskonały do cięcia żywego mięsa przeciwnika.

Zejsście na siódmy poziom było już niedaleko. Ninsaer dał Humboldtowi zakrwawioną lampę a wziął czystą. Skinął na ucznia, by ten zgasił światło. Ponownie zapanowała ciemność. Po kilkunastu sekundach w innym pomieszczeniu pojawiło się białe, nęcące światło a głośne wołanie Ninsaera przywabiało tłum. Zanim którykolwiek z nich dobiegł do przynęty, światło zgasło, a mistrz szybko pojawił się przy czekającym u progu Poziomu siódmego uczniu. Jak na razie wszystko przebiegało według planu.

Nagle Humboldt poczuł pociągnięcie za ramię. Zapalił lampę. Zobaczył przed sobą podziemniaka. Zanim zdążył zareagować usłyszał:

- Z góry wy – rzekł szaleniec.



Ninsaer trzymał miecz w pogotowiu. Szalenie nerwowo patrząc na broń, zaczął się tłumaczyć.

- Ja pomoc – zawołał – z góry wy. Ja pomoc. Ja z góry wam pomaga. Tu dużo smutek. Smutek dużo.
- Nie, dzięki – westchnął Ninsaer – wiemy gdzie iść.

Skierowali się w stronę długiego korytarza. Na poziomie siódmym ciemność jakimś cudem jeszcze większa, niż na szóstym. Mimo że zapalili obie lampy, widzieli jedynie ściany i podłogę korytarza. Pozostawało po prostu nim iść, mając nadzieję że coś w krajobrazie się zmieni. Od pewnego czasu słyszeli już głośnie postękiwania. Wkrótce trafili dużą wnękę w ścianie. W niej zaś, kilkoro nagich podziemniaków obu płci robiło rzeczy... które nawet nie do końca da się nazwać. Humboldt momentalnie chwycił za pofarkę, ale Ninsaer go zatrzymał.

- Są zajęci sobą – wyjaśnił – nie są niebezpieczni.
- O tak – zawołał ciągnący się dalej za nimi podziemniak – oni nie złe, oni smutek. Tu jest smutek, nie złe. Wy z góry. Ja tu bo dobre słowa wiary Arednabu. Ja zabieram im smutek, żeby nie były złe.

Ninsaer spojrzeli na siebie z zaskoczeniem.

- Czyli co? – zastanowił się mistrz – mamy tu Arednabskiego misjonarza?

Ruszyli w głąb korytarza. Według planu, ich cel się zbliżał. Ninsaer zwolnił. Rozpoznał obcy napis na ścianie. Zaczął szukać. Natrafili na stare, szczelnie zamknięte, metalowe drzwi. Powoli rozsunęli drzwi, używając hlavathany jako dźwigni.

- Ej chodź, przydaj się – Ninsaer zawołał podziemniaka, ale ten zniknął.

Humboldt wzruszył ramionami i wszedł między skrzydła drzwi, rozpychając je. Jego mistrz przyświecił lampą i zobaczył pionowy szyb. Pod nimi znajdowała się jedynie kupa gruzu. Wyjął coś z torby i rzucił. Odsunęli się, zanim potężny wybuch wstrząsnął murami. Ze szczelin drzwi poleciały kłęby dymu. Tym razem otworzyły się łatwo. Szyb był znacznie głębszy i – cokolwiek go blokowało – zjeżdżało w dół, ku najgłębszym poziomom Gniazda.

Ninsaer i Humboldt spuścili się po linie najpierw na ósmy, potem dziewiąty, dziesiąty i w końcu jedenasty poziom. Drzwi były zerwane od eksplozji. W białym świetle swoich świecących kul, zobaczyli niezwykle widok. Miejsce nienaruszone przez podziemniaki. Wnętrze o białych ścianach, dziwnych stołach, pełnych kartek zapisanych w starożytnych językach. Czarne, szklane tabliczki z wizerunkami kotów na odwrocie. Wielkie, czarne okna, prowadzące donikąd. I szkielety leżące na podłodze. Wiele szkieletów. Humboldt wziął z dłoni jednego z nich kawałek szarego materiału,



podobnego do tego różowego, który pokazał mu Jatzy. Ci martwi tego używali. I nie pochodzili z gwiazd. To były szkielety ludzkie.

Ninsaer nie tracił czasu na zwiedzanie. Wiedział, że powietrze jest już bardzo gęste. Nie przeżyją tutaj długo. Podszedł do żółtej skrzynki i zaczął w niej szperać. Rozkręcił swoją lampę. Dało się zobaczyć delikatny blask małego ziarenka otnatu, który dawał całe to światło. Ninsaer umieścił wewnątrz swojej lampy w żółtej skrzynce. Westchnął i pociągnął za wajchę.

Udało się! Nagle wszystko się rozświeciło. Stało się jasno jak w dzień. Na suficie paliły się białe światła, które Humboldt widział po raz pierwszy. Ninsaer podszedł do wnęki, zakrytej ciężką grubą szybą. Nacisnął jakiś guzik i szyba zaczęła się unosić. Humboldt nie wiedział, na czym zawiesić wzrok. Wszystko było absolutnie zdumiewające. Po chwili jego mistrz wrócił trzymając pudełko wielkości rozwartej dłoni.

- Chcesz zobaczyć coś – zapytał Ninsaer – czego od wieków nie widział niemal nikt?
- Co to jest?

Mistrz otworzył pudełko. Wnętrze wypełniła purpurowa poświata. Wielki, świecący kryształ otnatu cieszył oko swoim pięknem.

Humboldt miał wiele pytań, ale wiedział, że na razie nie czas na odpowiedzi. Oddychało się tutaj bardzo trudno. Natychmiast przygotowali się do wyjścia. Kiedy Humboldt sięgał po linę, zauważył, że ta się porusza. Dlaczego? Nie może się poruszać! Zanim skończył myśl, usłyszał krzyk. Jakiś podziemniak, pewnie z ósmego poziomu, postanowił pobujać się na linie. Poruszał się gwałtownie, panikując, lub też świetnie się bawiąc. Ninsaer przybiegł do drzwi. Podziemniak rzucał się jak szalony i wkrótce spadł w głębiny szybu. Humboldt i Ninsaer obserwowali, jak razem z nim w ciemność spada lina. Jedyna droga powrotu była odcięta.

Usłyszeli nagle szarpaninę i krzyki z góry. I głos arednabskiego misjonarza:

- Wy z góry! Mam przyjaciela – powiedział – on z góry. Szedł za wy. Ja pomoc. Wy z góry. On tu.
 - Puszczaj mnie z boku – słychać było głos małego Jatzego – łapy precz!
- Humboldt skrzywił się.
- Jatzy – zawołał Ninsaer – jesteśmy uwięzieni! Jest tam jakaś lina?
 - Nie bardzo – odrzucił Jatzy – tu jest tylko pusty korytarz, a dalej są podziemniaki.

Jego głos był przytłumiony i gdyby nie niosący go szyb, nie przebiłby się przez cztery poziomy. Poza nim słychać było głosy podziemniaków z ósmego poziomu.

- Musimy się wspiąć – powiedział Ninsaer.



- Może poczekamy na pomoc?
- Udusimy się zanim przyjdą. Wspniemy się na dziesiąty poziom.

Humboldt poszedł pierwszy. Przygotowany by go łapać, Ninsaer wspinał się za nim. Olinowanie i metalowe zbrojenia szybu ułatwiały proces. Szybko weszli na dziesiąty poziom. To była, jeszcze kilkanaście minut temu, część odcięta od reszty, więc podziemniaków tu nie było. Następny poziom nosił na sobie ślady wybuchu, którym odetkali szyb. Cokolwiek zjechało po tych metalowych szynach, było ciężkie i oderwało je od ściany. Przez środek szybu, przed poziomem dziewiątym była więc niejako kładka zerwanych szyn. Idąc po niej do przeciwległej ściany, Humboldt starał się nie myśleć o nieznannej głębokości tego szybu. Coraz trudniej mu się oddychało. Za nim Ninsaer starał się go asekurować wiedząc, że choć ten chłopiec wykazuje potencjał dalece większy niż jego rówieśnicy, wciąż jest jeszcze dzieckiem. Udało się do dojść po poziomie ósmego. Znajdowali się jednak na końcu rozwalonej szyny, bez niczego czego można by się chwycić, aż do poziomu siódmego. Kilku podziemniaków już wpinało się kładce, kilku z nich spadło, jeden po prostu radośnie skoczył w ciemność. Jatzy i arednabista stali w drzwiach poziomu siódmego. Humboldt zaczął się wspinać po szynie od strony przeciwnej do drzwi. Oddychał ciężko. Kręciło mu się w głowie. Jatzy widział, że ledwo żyje.

- Dasz radę przeskoczyć? – zapytał Humboldt.
- Właśnie myślę – odpowiedział mistrz – jeśli mi się uda, będę mógł i ciebie złapać.
- Skakałeś tak daleko?
- Tak, ale muszę mieć pewny grunt do wyskoku.

Grunt nie był pewny. Ich dłonie ślizgały się po osmaleniach, jakie zostawiła po sobie eksplozja. Ściany i metal były czarne a olinowanie i zbrojenia porozrywane. Nad drzwiami do siódmego poziomu sterczała pozostałość po szynie.

- A ten metalowy coś? – zauważył Humboldt – doskoczysz?
- Za wąski! Nie utrzyma mojego ciężaru!

Minęli drzwi do siódmego poziomu. Ninsaer chwycił się mocno metalu i zaparł nogami.

- Nie doskoczę – powiedział – stopy się ślizgają. Gdybym miał choćby dwa łokcie bliżej i oparcie które jest pewne.

Westchnęli. Wygląda na to, że żaden z nich się stąd nie wydostanie żywy. Chyba że wydostanie się jeden, gdy drugi się poświęci.

- Spróbuj wyżej – zaproponował Humboldt.

Gdy Ninsaer mijał Humboldta, ten złapał za miecz mistrza. Puścił się i błyskawicznie sięgnął hlavathaną do wystającej po drugiej stronie szyny. Oparty nogami o ścianę, piersią o końcówkę rękojeści miecza, Humboldt uczynił z siebie most. Ninsaer pojął, co próbuje osiągnąć.



- Moje ramię jest dalej niż dwa łokcie! – krzyknął uczeń.
- Zginiesz! – odkrzyknął Ninsaer.

Jatzy nie rozumiał. Dlaczego zamiast ratować siebie, Humboldt poświęci się dla swojego szefa? Przecież to buc!

- Skacz! – wrzasnął Humboldt, poprawiając swój chwyt na hlavathanie.

Ninsaer wiedział, że jest to dalece większe ryzyko niż jakiegokolwiek wcześniejsze. Ale to może być ostatni ratunek i nie ma czasu myśleć nad kolejnym.

- Dobra, lecę – powiedział – trzymaj się mocno!

Odepchnął się potężnie od ściany, wsparł się stopą na ramieniu Humboldta i wystrzelił w kierunku drzwi. Złapany przez Jatzego i arednabistę, niezwłocznie chwycił się ramy drzwi i pochylił do środka szybu. Humboldt był już zgięty w pół. Opadał. Ostatkiem sił odepchnął się i wyciągnął hlavathanę tak daleko jak mógł. Ninsaer złapał końcówkę pochwy. Powoli podciągnął swojego ucznia. Gdy tylko znajdowali się na piętrze, przytulił go. Humboldt gwałtownie odepchnął się od niego i przywarł do ściany, drżącymi dłońmi łapiąc gruz na którym siedział. Jego pierś unosiła się w gwałtownych oddechach. Przez chwilę nie mówili nic. Jedynie szalone wrzaski w ciemnym korytarzu niosły się echem. Ninsaer wyciągnął do ucznia pięść. Przybili żółwika.

- Dziękuję – powiedział, ciężko dysząc, mistrz.